

Danek, dowódca. Przed wojną zawodowy oficer, podporucznik artylerii. Głowa owinięta bandażem. Kąty ust ściągnięte ku dołowi, jakby skóra twarzy była za ciasna. Miał zapas wódki, pił rozważnie, utrzymywał się w stanie alkoholowego podniecenia, ale nigdy nie był pijany.

Michał. Znany już przed wojną jako teoretyk narodowej rewolucji, za okupacji wydawca i redaktor podziemnego pisma, w którym zalecał krajowi ustrój oparty na katolicyzmie i dyktaturze, jak w Portugalii Salazara. Miał krótki, prosty nos, jasne, rudawe włosy, które zaczynały łysieć od czoła. Jego głowa wydawała się mała przy kwadratowych ramionach. Wysoki, długie ręce z łopaciastymi dłońmi. Przyszedł tutaj po tym, jak bomba rozbiła drukarnię, w której przez pierwsze tygodnie powstania wydawał swoje biuletyny, rozdawane ludności i żołnierzom. Jego żona, sanitariuszka, była na Starym Mieście ze swoim szpitalem. Danek odnosił się do niego z szacunkiem i udzielał mu swego poparcia przeciwko Bertrandowi.

Bertrand: trudno do niego było się przyczepić, bo był szczególnie dobrym strzelcem. Jednakże w oczach Danki miał liczne winy na sumieniu. Dwudziestodwuletni student Politechniki, blada, okrągła, spokojna twarz, ciemne oczy. Proklamował swój wstręt do wojska i do wojny. Koledzy z batalionu nazywali go nieco pogardliwie pacyfistą. Kilka dni temu wyniósł spod ognia z narażeniem życia rannego Niemca. Było w nim coś, co nakazywało mieć się na baczności. Nie był całkowicie „swój chłop”, myślał dziwacznie, zresztą zaznaczał dystans nagłym milknięciem w połowie zdania i pobłażliwym uśmiechem. Foka wiedział, że Bertrand przybrał pseudonim na cześć swego ulubionego autora, Bertranda Russella. Po wojnie chciał zająć się wyłącznie logiką matematyczną. Dla Bertranda tragedią była obecność Michała. Zmuszał się do przyjaźni, ale kilka wymienionych słów wystarczało, żeby odchodził ponury. Cierpiał, bo ta obecność podważała sens jego decyzji, odbierała czystość jego ofierze. „To jest faszysta - powiedział raz do Foki - i ja jestem z takimi jak on”. Michał był zaczepny i złośliwie odzywał się o racjonalistach i liberałach. Danek z zadowoleniem przyjmował te drwiny. Bertrandowi nie mógł wybaczyć zamiłowania do niezrozumiałych teorii i książek.

Sanitariuszka Wiła: gruba, niska, osiemnastoletnia dziewczyna, o białej skórze i rudawych włosach. Hałaśliwa, władcza, narzucająca chłopcom posłuch samą siłą swojej wybuchowości. Przeplatała głośne modlitwy seriami przekleństw zbudowanych dokoła słów dupa i gówno. Cała na zewnątrz, nie ukrywała swego strachu, mówiła: „O Matko Boska, jak ja się boję”, i równocześnie nie cofała się nigdy, było to jakby spostrzeżenie nie mające związku z jej osobą, dotyczące kogoś innego.

Sanitariuszka Magda: lekko zadarty nos, niebieskie oczy, szczupła, nieco bezbarwna. Mało ją było słyszeć. Foka zauważył ją, kiedy raz Bertrand, któremu nalewała zupę, rzucił jedną ze swoich sentencji. Odrzuciła mu inną sentencją jak piłką, było to zabawne. Bertrand patrzył za nią ze zdumieniem, ona była już daleko, ta sama co poprzednio, automatyczna. W istocie jednak Magda stała się postacią od historii z kapitanem Osmanem.

Kapitan Osman: nikt nie wiedział nic o jego przeszłości. Ubrany był w ciemny mundur, jakby mundur oficera lotnictwa przefarbowany na czarno. Twarz miał żółtą, zmiętą, długie fałdy koło grymaśnych, ruchliwych, szerokich ust, spojrzenie ironiczne. Na lewym oku nosił czarną przepaskę, na głowie czarny beret. Zniknął nieraz na dwanaście godzin, kiedy już sądzono, że zginął, zjawiał się i zdawał krótką relację. Zajmował się polowaniem na Niemców czy - jak mówili chłopcy - na własną śmierć. Wypełzał w ruiny getta i stamtąd wybijał nieprzyjacielskie obsady. Przesiadywał z karabinem na schodkach wieżyczki na szczycie ich domu, czekając na jakiś ruch w oknach domu zajętego przez Niemców. Nieraz, kiedy do niego strzelali, odślaniał się i wygrażał im pięścią. Historia z Magdą tak się odbyła: Magda poprosiła go, aby wziął ją ze sobą na górę. Zapytał ją, czy nie będzie się bała. Nie. Na pewno? Na pewno. Kiedy weszli na najwyższe piętro, Osman pokazał Magdzie wielką dziurę sięgającą od sufitu do podłogi, wybitą przez artyleryjski pocisk. „Stać tam i pokaż się Niemcom” - rozkazał. Patrzyła na niego, nie rozumiejąc. „Mówiłaś, że nie będziesz się bać”. „Ależ będą strzelali do mnie”. „Właśnie o to chodzi. Jak będą strzelali, zobaczę ich i ich sprzątnę”. Magda oczywiście bała się, ale było jej wstyd. „Wysunęłam tylko głowę - opowiadała później - i zaraz cofnęłam, ale Niemcy zaczęli strzelać jak szaleni”. Osman wezwał Magdę do swego okna i biorąc za rękę, poprowadził jej palec: na tle szarych koców, którymi założone było okno w nieprzyjacielskim domu, zwisały ręce i głowa o jasnych włosach. Ręce chwiałały się, wciągali go z tyłu za nogi. W ten sposób linia życia Magdy przecięła się z linią życia nieznanego jej człowieka - zegarmistrza z Heidelbergu, robotnika z Berlina czy rolnika z Schwarzwaldy, jakkolwiek kim był, nie będzie nigdy wiadomo.

Konflikt pomiędzy Dankiem, Michałem i Bertrandem osiągnął największe napięcie w dniu, w którym zjawił się ojciec Ignacy. Siedział w dawnej pralni na ławie, pił wodę z butelki, jabłko Adama poruszało się miarowo w jego przegiętej szyi. Spod panterki zwisała sutanna w strzępach, jak brudna, zszargana spódnica. Na piersi miał przywiązaną puszkę, w niej nosił komunikanty. Po całym domu rozeszła się zaraz wiadomość. Każdemu znany był ten heroiczny jezuita. To, że przyszedł do nich, zmieniało wszystko: zginęło napięcie samotnej łodzi podwodnej, na chwilę świat odzyskiwał swój ład, była to po prostu wojna, linia frontu, nie zapomniano o nich, mieli wizytę kapelana. Foka poznał ojca Ignacego; wiadome mu było jego

prawdziwe imię i nazwisko. Pamiętał tę chudą, ciemną twarz z czarnymi oczami i te wąskie usta - co prawda, pamiętał je układające się w wyraz triumfu, najwyższego zadowolenia z matematycznej doskonałości, kiedy ojciec Ignacy odwracał się od tablicy, na której wyprowadził swoje wzory, i ogarniał salę spojrzeniem. Teraz usta ojca Ignacego były sine, twarz pełna znużenia, szara, pełna sady i tynku na nosie i policzkach. Chłopcy podchodzili do niego, zdejmowali hełmy, klękali, czekając na chwilę, kiedy zacznie spowiadać. Bertrand stał z boku, przyglądał mu się z przechyloną głową, oczy miał nieruchome, chciwe, jakby chciał na zawsze utrwalić jego obraz w pamięci. Potem nagle zaofiarował się, że pójdzie złuzować tych na górze, żeby mogli przystąpić do spowiedzi. Foka widział, jak odchodził, śpiesząc się, na schody, niosąc swój karabin w opuszczonej bezwładnie ręce. Przechylenie głowy. Zrobiło mu się żal. Nie zastanawiał się nad tym, co robi. Zachowywać się tutaj inaczej niż wszyscy wydawało się niemożliwe, pozbawione jakiegokolwiek uzasadnienia. Ojciec Ignacy wyjmował z kieszeni zgniecioną fioletową stułę. W samotnym odejściu Bertranda było bolesne wyzwanie. Nie. Nie mógł go zostawić samego.

Dopędził go na schodach górnych pięt. Gruz zgrzytał pod jego butami. Bertrand obejrzał się. Wyraz zacięcia ustąpił nagle z jego twarzy, niedowierzanie, zdziwienie, zatrzymał się. Uśmiechał się miękko, łagodnie i usta mu drżały jakby po płaczu.

Leżeli obok siebie na podłodze, obserwując przez dziury w murze pozycje w ruinach getta. Nierówne fale zgiełku bitwy wibrowały w murach domu, wznagały się, słabły. Bertrand pochylił ku niemu głowę, opierając ją na dłoni zaciśniętej na zamku karabinu.

- Czy wiesz, kto to jest?
- Wiem. Spotykałem go za okupacji.
- Czy wiesz, do czego używa matematycznej logiki?
- Wiem.

Ojciec Ignacy był autorem traktatu, w którym przy pomocy logiki matematycznej dowodził istnienia Boga. W czasie okupacji zapraszał wielu z młodzieży na swoje tajne wykłady, które miewał w jezuickim klasztorze. Foka był na trzech takich wykładach. Dwa pierwsze były interesujące, choć Foka, słuchając wykładów popieranych wzorami, miał poczucie wewnętrznego protestu, jakie powstaje, kiedy ktoś jest zmuszony iść za cudzym rozumowaniem, nie mogąc wyłowić błędów, ale wiedząc, że nie wszystko jest tam w porządku. Trzeci wykład jednak był niemiłym wspomnieniem. Ojciec Ignacy przystąpił w nim do wyłożenia swoich koncepcji politycznych, które rzekomo wynikały z jego metafizyki.

- Foka, czy ty może czytałeś *Czarodziejską górę* Tomasza Manna?
- Czytałem.

- To pamiętasz spory jezuita Naphty z Settembrinim. Ja zostanę do końca z Settembrinim.

Tak. Bertrand miał słuszną. Ojciec Ignacy był Naphtą. Ciekawe, że nie mogę sobie przypomnieć jego twarzy w czasie trzeciego wykładu. Dlaczego? Foka pamiętał tylko wyzwiska, jakie ojciec Ignacy rzucał na kapitalistów, socjalistów, masonów, komunistów, demokratów - i własną przykrość, wstyd, że tamten się poniża: w istocie do kolekcji brakowało tylko Żydów, którzy o dwa kilometry od miejsca, gdzie odbywał się wykład, byli ładowani w wagony wiozące ich do komór gazowych. Ojciec Ignacy, roztoczywszy wizję uporządkowanego, czystego, idealnego społeczeństwa, nawoływał do krucjaty w jego imieniu: „Nie cofać się przed radykalnymi środkami! Nie oszczędzać krwi!” Od tego wykładu Foka stracił odżywaną w nim sympatię do katolicyzmu i za to, że nie miał już chęci czytać św. Augustyna, czynił odpowiedzialnym ojca Ignacego. Ale dlaczegoż by nie miał przystąpić do spowiedzi? Cóż tu miał do czynienia ojciec Ignacy, czy to nie to samo, co mówić swoje winy wobec gór czy nieba, czy morza? A dlaczegoż by miał koniecznie to robić? Czy tak, czy nie, nie miało to znaczenia, wszystko, czym był i czym był świat, zawierało się skrócone, równoczesne, w słowie „być” i w słowie „nie być”, miał chwile oderwania się od siebie - widział wtedy, jakby na dnie wielkiej przepaści, siebie samego leżącego z bronią, bitwę, miasto, Katarzynę (co robi teraz Katarzyna?), ziemię. Tak, stało się lepiej, że był tu z Bertrandem. Bertrand istniał obok, konkretny, żywy, potrzebujący pomocy, i Foka wiedział, że ta chwila była ważna, że to był początek przyjaźni. Zazdrościł Bertrandowi koncentracji, uporu decyzji. Ten, tak jak golił się starannie i w tym skazanym domu utrzymywał wygląd schludny i normalny, tak samo ani na chwilę nie wyrzekał się swoich intelektualnych przywiązań, matematyczne wzory i strzelanie były dla niego na jednym poziomie, każda z dziedzin dobrze dostosowana do okoliczności. Kiedy rozmyślał nad tym, Bertrand powiedział, śledząc uważnie (zbyt uważnie), pole przed nimi:

- To, co jest w literaturze, czasem się spełnia. Dziś jest już tylko jezuita Naphta. Albo czarny, albo czerwony. Dlatego ja powinienem zginąć.

Ojciec Ignacy siedział w podwórzu na schodkach prowadzących do piwnicy. Po wysłuchaniu spowiedzi czuł galopujący w nim rytm cudzych żywotów, spraw, poświęceń. Te dzieci. Był winien, był odpowiedzialny za ich śmierć. Przez całą okupację zachęcał ich do tej ofiary. Po ludzku odpowiedzialny, na pewno. Ale czy to jest wystarczająca miara? A równocześnie strach ubezwładniał mu nogi. Wstać i znów biec w to piekło, między wybuchami pocisków, wydawało mu się

czymś nieprawdopodobnym. Wyjął brudną chustkę i ocierał z czoła pot przerażenia. Szczupły, drobny, czarny przy wielkim Michale, który czochrał się ramionami o schodki, pochylony w tył na łokciach, trwał w wewnętrznej walce, przymykając oczy, aby tamten nie odgadł, co się w nim dzieje. Słuchał odgłosów kanonady, w absurdałnej nadziei, że nagle ucichnie, że wszystko się skończy, zanim będzie musiał wstać. Zapytał Michała:

- Czy wszyscy przystąpili do spowiedzi?

- Wszyscy, z wyjątkiem dwóch. Są na górze. Nie chcą.

- Komuniści?

- Nie, ale z tej samej bandy. Studenci. Jeden racjonalista, nabił sobie głowę różnymi sofizmatami neopozytywizmu. Drugiego widywałem w tych latach. Zdaje się, że z socjalistycznej rodziny. Domowe tradycje.

Ksiądz zmagał się ze swoim strachem, który czuł w swoim ciele jak obrzydliwą chorobę, a równocześnie jak chorobę najściślej indywidualną, jego tylko własną, nie mogącą się zdarzyć nikomu innemu.

- Michał, z czego człowiek może czerpać siłę, jeżeli odrzuca jedyne źródło siły? Ci młodzi, których spowiadałem. Jakież tam grzechy. Jeden pytał, czy grzech, że strzelał, choć widział, że Niemiec ranny. Ci mają siłę. Ich własnej czystości.

Michał pogładził zarosnięty szczecinę podbródek.

- Dla wielu, jak dla tych chłopców, bić się jest tylko obowiązkiem. Wobec Boga i ojczyzny. Ale dla niektórych jest formą samobójstwa.

Ksiądz wystawił twarz na słońce, spokojne słońce kłęski, toczące swoją rozżarzoną kulę za dymami.

- Tyle śmierci. Wszystkie nasze nadzieje, kwiat tego narodu. Kim trzeba być, żeby nie widzieć, z czego to wszystko. Ich cywilizacja! Renesans, oświecenie, racjonalizm, demokratyczne hasła. I sojusz amerykańskich plutokratów z bolszewikami. Zachód. Zachód. Ten Zachód będzie musiał zrozumieć, ale ponieważ, to, co się tu odbywa.

Michał prychnął pogardliwie.

- Tak dla nich wygodniej. Oszczędzili życie swoich żołnierzy. Życie ponad wszystko. Jakość życia nie wchodzi w rachubę.

- Kościół miał rację, kiedy walczył z lichwą. Ich racjoniści, ich opętani reformatorzy. Po to tylko, żeby znaleźć argumenty do napychania kieszeni. Kiedy na-pchali kieszenie, nie chcą ginąć.

Ojciec Ignacy wstał nagle. Górując nad Michałem, wyrzucił gwałtownie swój podbródek warszawskiego Savonaroli. Dokończył:

- Nie, kurczowo będą trzymać się życia. Wezwą do pomocy barbarzyńców ze stepów. Barbarzyńcy znają cenę swojej krwi. Płacić im trzeba miastami, krajami, zagładą niewinnych. Ale upadnie rzymskie imperium tchórzów.

Po odejściu ojca Ignacego Michał zaprzestał prób dyskusji z Bertrandem. Wobec niego i Foki zaczął być milcząco uprzejmy. Danek patrzył na nich spode łba. W zachowaniu się ich obu była dezaprobata. Złamana została wspólnota duchowa, która powinna była łączyć załogę okrętu żeglującego po morzach zniszczenia.